WIEM WSZYSTKO

50 GR

TYGODNIK AKTUALNOSCI POD REDAKCJĄ WŁODZIMIERZA POPŁAWSKIEGO

Nr. 4. Warszawa, Niedziela 16 lutego 1936 r. Rok I.

CZARNA UMOWA SAMOCHODOWA

Jak polski murzyn dostał „Polskiego" Fiata

Poruszona przez nas w poprzednim numerze (wedle zapowiedzi z nr. 2) sprawa tragicznego grzezawiska w jakie motoryzację Polski zepchnął... Polski Fiat, wymaga znacznie obszerniejszego omówienia z przytoczeniem konkretnych faktów absurdalnej gospodarki. **Robiąc to w niniejszym i następnych numerach WIEM WSZYSTKO, chcemy przedewszystkiem wyjaśnić, że w artykułach naszych fachowiec znajdzie niewątpliwie pewne luki. Nie stworzył ich brak dostatecznie konkretnego materjału, ani też chęć oszczędzania tych, czy innych postaci związanych z demotoryzacją Polski. Szereg faktów poruszonego przez nas tematu wiąże się przedewszystkiem z zagadnieniem Obrony Państwa i na tej płaszczyźnie ich ciężar gatunkowy jest bezporównania większy, dla każdego Polaka bardziej istotny od — ewentualnych korzyści jakie pismo nasze mogłoby osiągnąć demaskując bezkompromisowo smutny „kompleks Polskiego Fiata".**

KRZYWDZĄCA UMOWA

Twierdząc w poprzednim numerze, że demotoryzacja Polski jest winą Polskiego Fiata, nie opieraliśmy się bynajmniej na jakiemś tam widzimisię, czy tendencyjnem nastawieniu wobec wozów produkowanych na podstawie włoskiej licencji.

Stwierdzamy kategorycznie, że pomijając wszystkie braki tych wozów, umowa jaka została zawarta z turyńskim Fiatem była przedewszystkiem i całkowicie dla Polski krzywdząca.

Możnaby ostatecznie zrozumieć tego rodzaju załatwienie sprawy przez ówczesnych kierowników PZInżu, gdyby sprawą zmotoryzowania Polski interesował się tylko i wyłącznie turyński Fiat.

POZYTYWNE KONTO

Niestety — sprawa wyglądała w roku 1929, kiedy to rozpoczynaliśmy pertraktacje z zagranicą, zupełnie inaczej. Zawarta poprzednio umowa licencyjna z wielką firmą szwajcarską Saurer, stworzyła dla Polski, dotychczas w świecie przemysłu samochodowego notowanej ujemnie, konto arcypozytywne.

Temu też prawdopodobnie należy przypisać zainteresowanie jakie na wieść o zagranicznych pertraktacjach motoryzacyjnych Polski, objawił w pierwszym rzędzie najpotężniejszy wówczas w Europie wytwórca samochodów A. Citroen.

CITROEN NA WIDOWNI

Specjalna komisja, która jeździła kilkakrotnie zagranicę, odbywając szereg konferencyj z wielkim przemysłowcem samochodowym, niemogła nie spostrzec jego pozytywnego nastawienia do sprawy zawarcia umowy z Polską na wybudowanie fabryki i rozpoczęcie w niej produkcji samochodów marki Citroen.

KONKRETNA PROPOZYCJA

Na wiosnę 1931 roku A. Citroen, który już produkował najnowocześniejsze w Europie maszyny, przybył do Polski i w rozmowach z czynnikami upełnomocnionymi godził się na każdą koncepcję, nie wykluczając nawet wybudowania fabryki i fabrykowania wozów wyłącznie swoimi kapitałami, prowadząc zarówno fabrykację, jak i sprzedaż na własny rachunek i własne ryzyko.

Niemogąc dojść do porozumienia dnia 1-go lipca 1931 roku złożył propozycję pisemną.

Dzisiaj, z perspektywy lat i na podstawie nabytego, jakże smutnego doświadczenia, widzimy jasno, **że propozycja A. Citroena była najlepszą ze wszystkich jakiekolwiek Polska otrzymała od zagranicy w zakresie przemysłu motoryzacyjnego.**

I oto właśnie wtedy wychodzi na widownię... włoski Fiat!

Jest to o tyle bardziej charakterystyczne, że na początku zagranicznych pertraktacyj, czynniki powołane do załatwienia tej sprawy, wogóle nie brały Fiata pod uwagę, a propozycje jego, że poprowadzi fabrykację i sprzedaż samochodów na własny rachunek, pomijano obojętnem milczeniem.

Tu godzi się podkreślić, że te propozycje płynęły z Turynu wówczas, kiedy dyrekcja włoskiego Fiata widziała, że Polską interesuje się nietylko potężny Andree Citroen, ale ponadto takie kolosy przemysłu samochodowego, jak Studebacker i Chrysler, przytem z propozycji Citroena wynikało, że byłby on skłonny zaangażować w zmotoryzowaniu Polski przez produkcję i sprzedaż na własne ryzyko swych samochodów, **kapitał sięgający 100 miljonów franków.**

W takim „komplecie" konkurentów, Fiat, pozostający na szarym końcu, skłonny był do najdalej idących koncesyj na rzecz Polski, ale, można bez przesady powiedzieć, że głos jego, był głosem wołającego na puszczy...

PROPOZYCJE AMERYKANÓW

Czynniki powołane pertraktowały ozięble z Citroenem, jednocześnie rozpatrując oferty amerykańskich koncernów, z właściwem Amerykanom rozmachem proponujące rozwiązanie sprawy nietylko fabrykacji samochodów, ale również budowy odpowiednich dróg.

Wszystko to wskazywało na kompletny brak zainteresowania Fiatem który niemiał wówczas żadnych szans. Ale i dziwnemi drogami chadzają ludzkie upodobania. I oto, zupełnie niespodzianie stosunek powołanych czynników polskich do ofert włoskiego Fiat — uległ radykalnej zmianie.

ZMIANA SYMPATJI

Niemożemy przeprowadzać analizy tych niespodziewanych sympatji dla Fiata. Prawdopodobnie, ci którzy z Fiatem pertraktowali, stwierdzili, że wozy włoskie są bezporównania lepsze, od, **już wówczas w Europie najlepszych Citroenów,** a warunki przez Fiata stawiane korzystniejsze od warunków wszystkich innych firm konkurencyjnych.

Pod koniec lata 1931 roku stało się wiadomem, że... wszyscy konkurenci odpadli, że nie przyjęto ofert ani Citroena, ani Studebackera, ani Chryslera, ani angielskiego przemysłu samochodowego. Na widowni pozostał jedynie i wyłącznie Fiat.

NOWE WARUNKI FIATA

Znów specjalna delegacja wyjechała do Turynu. Tu jednak nastąpiło lekkie rozczarowanie. Widząc, że wyzbył się groźnych konkurentów, Fiat włoski postawił zupełnie nowe, krańcowo odmienne warunki.

Ogólna ich linja była tak daleka od tego, co mogliśmy uzyskać od innych firm zagranicznych, tak dla nas niedogodna i upokarzająca, że orjentujący się w sytuacji, wróżyli bezwzględne zerwanie pertraktacyj z Fiatem...

CZARNY DZIEŃ

To jednak nie nastąpiło.

Przeciwnie, w dn. 21 września 1931 r. w kancelarji notarjusza Zygmunta Nowickiego w Warszawie przedstawiciele PZInżu ze strony polskiej i przedstawiciele Fiata ze strony włoskiej, podpisali umowę, jedną z najtragiczniejszych dla Państwa Polskiego, co już w najbliższej przyszłości mieliśmy okazję stwierdzić.

Umowę tę bez cienia przesady można ochrzcić mianem wręcz skandalicznej. Nie bądźmy jednak gołosłowni.

U M O W A!

Oto kilka soczystych kwiatków:

„Samochody Polski Fiat, korzystać będą od chwili podpisania umowy i przez cały okres jej trwania z następujących przywilejów:

1. Obniżenie podatku od wagi, pobieranego na rzecz Funduszu Drogowego, lub zastąpienie tego przywileju koncesjami ekwiwalentnemi.

2. Zapewnienie, że samochody Polski Fiat korzystać będą przez cały czas trwania umowy ze wszystkich przywilejów i koncesyj, które nadane zostaną produkcji krajowej.

3. Wyłączność dostaw do biur, instytucyj, zakładów i przedsiębiorstw państwowych i komunalnych, oraz dla zakładów i towarzystw korzystających z pomocy lub gwarancyj rządowych".

A oto inny fragment tej hańbiącej umowy, dostatecznie chyba uwypuklający „kolonizatorski" stosunek włoskiej firmy do Polski!

„Jako gwarancję, że maszyny i obrabiarki dostarczone przez włoskiego Fiata Polskiemu Fiatowi, zostaną spłacone, niezależnie od pełnego pokrycia wekslowego, przyznaje się włoskiemu Fiatowi co następuje:

a) Wszystkie maszyny i obrabiarki, dostarczone Polskiemu Fiatowi przez włoskiego Fiata, pozostają własnością tego ostatniego aż do czasu ostatecznego uregulowania należności.

b) Maszyny i obrabiarki zostaną zaasekurowane na rachunek Polskiego Fiata, ale polisa asekuracyjna wystawiona będzie na imię włoskiego Fiata".

Czy garść tych faktów nie świadczy dobitnie o całym bezkresie upodlenia na jakie własnowolnie zdecydowaliśmy się?

BANKRUTY?

Po dokładnem przestudjowaniu umowy, widać, że Fiat turyński zażądał od nas niby od bankrutującego księstewka Monaco, gwarancyj, regwarancyj i supergwarancyj naszej wypłacalności...

Z dziecięcą lekkomyślnością, ludzie, którzy podpisywali umowę z włoskimi przemysłowcami rezygnowali ze wszystkich przywilejów, jakie bez najmniejszego trudu i kłopotu moglibyśmy uzyskać od każdej innej fabryki samochodowej.

MONOPOL WŁOSKI

Z dziecięcą lekkomyślnością zdecydowano się na... monopol przestarzałych i absolutnie nie odpowiadających naszym warunkom wozów Fiata. Podpisując tę niegodną umowę własnowolnie utraciliśmy godziwą konkurencję, zamknęliśmy rynek polski dla fabrykacji jakichkolwiek innych wozów, chociażby były one stokroć lepsze od Fiatów!

Mało tego. Z paragrafu 15 wspomnianej wyżej umowy wynika, że niema granic pretensji Fiata do nas, gdybyśmy powiedzmy w niedalekiej przyszłości chcieli pójść za postępem techniki samochodowej niezależnie od tego, co nam będzie mógł, czy też będzie chciał dawać „dobroczyńca" Fiat z Turynu.

Sprytny włoski kolonizator związał ręce pokornemu murzynowi polskiemu!

TANDETA ZA DROGIE PIENIĄDZE

I oto ta sławna umowa stała się idealnym pomostem ekspansji włoskiego przemysłu do Polski. Ostatecznie, nie mielibyśmy nawet nic przeciwko temu aby kupować wozy wykonane wedle licencji włoskiej, ale te wozy musiałyby wyprzedzać inne nietylko pod względem ceny, nietylko przez mniej lub więcej sprawnie zorganizowaną obsługę, a jeszcze sprawniej działającą propagandę, ale przedewszystkiem musiałyby to być auta przystosowane do naszych dróg, a raczej bezdroży. Auta trwałe i pewne. Tymczasem szumnie reklamowane Polskie Fiaty żadnego z tych walorów nie posiadają!

(Dokończenie na str. 2-ej).

170 MILJONOW PRZEZ 13 LAT!

Z „polskiej“ PASTy do szwedzkiego Ericssona

Można bez przesady zaryzykować twierdzenie, że niema chyba w Polsce człowieka całkowicie zadowolonego z... telefonów.

Ta wielka rodzina malkontentów jest równie różnolita, jak nieskoordynowana i temu też prawdopodobnie należy przypisać dotychczasowy brak rozwiązania kwestji telefonicznej w sensie pozytywnym dla konsumenta.

RZECZOWO I SPOKOJNIE

Aby dostatecznie zgłębić to skomplikowane zagadnienie, a co za tem idzie przeprowadzić gruntowną reorganizację istniejącego obecnie systelonego z... telefonów. frazeologji i... demagogji, a spojrzeć na sprawę telefonów bardziej rzeczowo, spokojnie a wyczerpująco.

Nic tu bowiem nie pomogą lamenty na temat zbyt wysokich stawek taryfy telefonicznej. Taryfa ta jest obowiązująca, zaakceptowana przez ministerstwo i wszelkie ataki na nią, przypominają w dużym stopniu... targi z konduktorem o cenę biletu tramwajowego.

OD INNEJ STRONY

Tak długo, jak długo będzie mówiło się o doli szarego człowieka, który godząc się, rad nie rad na coraz to nowe kurtyzacje zarobków, niemoże w żaden sposób zdobyć dla siebie taniego telefonu — albo nie uzyskamy żadnego efektu, albo też efekt ten będzie minimalny. Zagadnienie „plantacji“ telefonicznej trzba ująć z innej, bardziej istotnej dla czynników miarodajnych strony.

Kiedy rząd tępi wszelkie objawy wyzysku zagranicznego, kiedy wzorem Żyrardowa czy elektrowni warszawskiej, wypędza się z naszego życia zagranicznych szkodników, conajmniej dziwnie wygląda milczenie z jakiem czynniki miarodajne przyglądają się Polskiej Akcyjnej Spółce Telefonicznej w Warszawie.

ROZWIAĆ LEGENDĘ!

Ten i ów zauważy niewątpliwie, że poważnym akcjonarjuszem Spółki jest właśnie Skarb Państwa i tą legendę należy jaknajprędzej rozwiać, bo w oświetleniu konkretnych faktów przedstawia się ta sprawa zgoła inaczej.

Dnia 23 maja 1922 roku zatwierdzony został. po zawarciu umowy między Skarbem Państwa a szwedzką firmą Cedergren, statut Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej.

Do nowopowstałego przedsiębiorstwa państwo włożyło przedewszystkiem siecie telefoniczne Łodzi, Lwowa, Borysławia, Sosnowca, Lublina i Białegostoku, Cedergren — sieć warszawską. Kapitał Spółki określono na 18,900.000 fr. francuskich, przyczem Skarb Państwa dając wspomniane siecie, otrzymuje $^{3}/_{7}$ akcyj, Cedergren natomiast pozostałe $^{4}/_{7}$ akcyj kupuje za pieniądze, otrzymując akcje już po wpłaceniu do kasy Spółki tylko 20%.

„UDOGODNIENIA“

Resztę należności, t. j. 80% rozłożono Cedergrenowi na 5 lat. Tu godzi się zaznaczyć, że zatwierdzenie statutu i dalsze posunięcia świeżo powstałej Spółki przypadają na początek okresu inflacyjnego, kiedy marka z dnia na dzień ulegała błyskawicznemu spadkowi.

HIPOTECZNE ZABEZPIECZENIE

Spółka wypuszcza w międzyczasie obligacje na 15,000.000 koron szwedzkich, co stanowi równowartość 50 miljonów złotych, po 7% rocznie do zamortyzowania w przeciągu 25 lat.

Obligacje te zostają zabezpieczone hipotecznie na całym majątku Spółki!

Kapitał został podwyższony o 20 miljonów zł., co nie przeszkadza, że dzisiaj figuruje w bilansie kapitał w wysokości 42,477,120 zł. Pozostałe 80% za akcje PASTA wpłaca w okresie najostrzejszej inflacji, więc wpłaca dosłownie grosze... Podobnie przedstawia się sprawa opłat stemplowych, które decyzją z dn. 23 czerwca 1922 r. Ministerstwo Skarbu za liczbą 2582/22 rozkłada Spółce na 5 lat, przyczem I-sza rata wynosiła 5% i określona została bezpodstawnie zamiast we frankach, w markach polskich... Znów dowcipny trick PASTY, wymownie świadczący o tem, że na czele tego „polskiego“ przedsiębiorstwa stali ludzie, którzy znakomicie potrafili chodzić przy swych interesach. A że przy obliczeniach nawet tych 5% wzięto nie datę wpłacania, a okres początkowych pertraktacyj w sprawie zawiązania Spółki, dokładnie 14 marca 1921 roku, więc szwedzcy akcjonarjusze nie zapłacili z tych 5% tyle, ile w rzeczywistości należało się.

OFICJALNIE 12% DYWIDENDY

I oto Spółka zaczęła funkcjonować. Jak wychodził na tem konsument, ile i jak przeprowadzano inwestycje, o tem później. Narazie możemy stwierdzić, że oficjalnie Spółka wypłacała swym akcjonarjuszom... 12% dywidendy. Piszemy „oficjalnie“, bo z zysku brutto potrąca się 10% na kapitał rezerwowy, który dzisiaj wynosi 3,525,863 zł., również z zysku brutto potrąca się odpowiednią kwotę na fundusz amortyzacyjny. Z tych sum zebrała się pokaźna kwota 41,319,015 zł. 16 gr. Tyle leży w gotówce. Wydzielając 12% dywidendy stwierdzimy, że do 1-go stycznia 1935 roku, PASTA uzyskała czystego zysku prawie 20 miljonów złotych!

Za procenty od obligacyj wypłacono dotąd 49,000.000 zł., dążąc do silnych inwestycyj, PASTA miała na oku nietyle dobro konsumenta, ile towar szwedzki, który do inwestycyj prawie wyłącznie używano. Inwestycje tym towarem sięgają olbrzymiej sumy 99,751,390 zł. 74 gr.

200 MILJONÓW PRZEZ 13 LAT!

Reasumując w okresie od 1-go lipca 1922 roku do 1 stycznia 1935 roku POLSKA AKCYJNA SPÓŁKA TELEFONICZNA, której olbrzymia większość akcyj znajduje się w rękach „super - polskiego“ towarzystwa istniejącego w... Sztokholmie pod nazwą: „Telefonaktiebolaget L. M. Erricsson“, wywiozła do tegoż Sztokholmu skromną sumkę około 170,000.000 zł.

Zapamiętaj szary człowieku. polski nędzarzu cierpliwie wnoszący jakże bardzo ciężko zarobione pieniądze do kas „Polskiej“ Akcyjnej Spółki Telefonicznej, że nasi wypróbowani przyjaciele — Szwedzi zarobili na tobie w przeciągu 13 lat prawie 200 mijjonów złotych.

Niezła sumka.

SIEĆ WARSZAWSKA ZA... 50 MILJONÓW

Tu przychodzi okazja na omówienie pozornej nieścisłości zawartej we wstępie niniejszego artykułu. Powiedzieliśmy tam, że do nowopowstałej Spółki Cedergren dał swą sieć warszawską. I wszystko byłoby w porządku, gdyby... Cedergren dał ją istotnie.

Ale w Cedergrenie siedzieli wówczas ludzie z głowami, a w ministerstwie Skarbu Rzeczypospolitej urzędował genjalny autor umowy z Boussaciem — p. Michalski i dlatego, chociaż Skarb Państwa dał do spółki swoje sieci, to Cedergren nie zrobił tego z siecią warszawską, a poprostu... sprzedał ją Spółce za zawrotną sumę 50 miljonów złotych!

A WSZYSTKIE SIECIE?

Jest ona zawrotna istotnie, jeśli zważy się, że w bilansie za rok 1934 „stoi“ wyraźnie napisano, iż wartość wszystkich sieci PASTY wedle stanu na 1-go lipca 1922 roku wyrażała się cyfrą... 27,512,677 zł. 31 gr. z czego wynikałoby, że podczas gdy za wszystkie sieci wniesione do spółki zapłacono około 3 milionów złotych, za sieć warszawską Skarb Państwa przepłacił względnie licząc 2 — 3 krotnie! Dlaczego nie oszacowano dokładnie tej nieszczęśliwej sieci przed zawarciem jeszcze nieszczęśliwej umowy, to już pozostanie tajemnicą tych ludzi, którzy wówczas sprawę PASTY załatwiali.

„ZABEZPIECZENIA“

Przewidując, że kiedyś wreszcie przyjdą uczciwi, a w każdym razie rozsądni ludzie, którzy przeprowadzą rewizję tego dziwolaga i napewno nie zgodzą się na dalsze tolerowanie szwedzkich eksploatatorów, PASTA znakomicie zabezpieczyła się przed niezbyt dla niej przyjemną ewentualnością uczciwego wykupienia akcyj przez Skarb Państwa.

Oto Skarb Państwa ma prawo wykupić PASTĘ, płacąc w ciagu pierwszych 10 lat... 130% nominalnej wartości akcyj. Niebyłoby to jeszcze tak beznadziejne, gdyby ilość tych akcyj nie przekraczała początkowej cyfry 18,900 sztuk po 1,000 fr. francuskich za akcję. Obecnie jednak wartość nominalna papierów PASTY wynosi — 890 zł., t. j. trzy razy drożej niż na początku, a jest tych akcyj prawie 3 razy więcej, bo 49,392 sztuki.

WIĘC ILE MA SKARB?

I przychodzimy wreszcie do źródła legendy o udziale Skarbu Państwa w PASTCIE. Początkowo miał on, jak zaznaczyliśmy wyżej $^{3}/_{7}$ akcyj, ale po podwyższeniu kapitału i 5-krotnych emisjach nowych akcyj, niema nawet... $^{2}/_{7}$. Do niedawna, rok rocznie ogłaszano stan posiadania Skarbu Państwa. W roku 1934 nie zrobiono tego. Dlaczego? Czyżby cyfra posiadania skurczyła się jeszcze bardziej?

Tak czy inaczej, z podanych faktów widać jasno, że raz jeszcze padliśmy ofiarą sprytnych machinacyj cudzoziemskich plantatorów, którzy łupiąc bezlitośnie skórę polskiego konsumenta, zbierają wspaniałe plony.

JESZCZE JEST CZAS

Zapóźno dzisiaj rzucać gromy na niesławnej pamięci p. Michalskiego, który podobnie niekorzystną dla Rzeczypospolitej tranzakcję przeprowadził, ale nie jest zapóźno zreorganizować kolonjalne metody pracy p. Ericssona i jego polskich wasali, którzy na wyzysku swych współbraci dorobili się jakże wspaniałych fortun...

Toczący się obecnie proces adw. Karena z PASTA, zeznania świadków występujących w tym procesie i niekończące się skargi abonentów PASTY, to widomy dowód anormalnej sytuacji, która się wytworzyła na tym odcinku naszego życia i którą bezwzględnie w imię dobra Państwa i jego obywateli trzeba zlikwidować.

Jerzy Grotnowski.

(Dokończenie ze str. 1-ej).

Z całą stanowczością należy stwierdzić, że za cenę części chociażby tych przywilejów, które uzyskał dla siebie turyński Fiat, moglibyśmy bardzo wiele zrobić dla rozwiązania palącej sprawy budowy dróg, którą, co tu dużo gadać, należało rozwiązywać równolegle z uruchamianiem krajowej produkcji samochodów.

„POLSKIE“ FIATY

Tylko, że tej produkcji u nas po dziś dzień niema. I zwykłem mydleniem oczu trzeba nazwać wszelkie bajeczki o „polskości“ Fiatów. Jak ta sprawa wygląda w rzeczywistości, omówimy w następnym numerze, dziś godzi się tylko stwierdzić, **że nader kiepsko przysłużyli się Rzeczypospolitej wszyscy ci ludzie, którzy prowadząc pertraktacje z 13 firmami samochodowemi, wybrali właśnie Fiata.**

Tym ludziom możemy zawdzięczyć cały tragizm demotoryzacji w jakim grzęźnie coraz bardziej Rzeczpospolita.

Alfa.

A fe... panie D!.

Członek rady Banku Zachodniego i właściciel miljonowego majątku ziemskiego Jeziorki pod Poznaniem, p. Stefan Dąbrowski stał się bohaterem niezwykłej sprawy sądowej.

Oto przemysłowiec gastronomiczny p. Szczepan Żbikowski wystąpił przeciw ziemianinowi o 5,100 fr. szwajcarskich z tytułu weksla wystawionego przez Dąbrowskiego, a żyrowanego przez nieżyjącego już dziś senatora Miklaszewskiego. Termin płatności weksla upływał w lipcu 1935 r.

Wbrew przewidywaniom, bogaty ziemianin w trminie weksla nie wykupił tłumacząc się, iż wręczył go w swoim czasie Miklaszewskiego in blanco, że nigdy nie był wierzycielem zmarłego i wobec tego, wszystko wskazuje na to, że weksel dotał się do rąk Żbikowskiego drogą nielegalną, został wypełniony bezprawnie i winien być uznany za bezwalutowy, zwłaszcza, że pochodzi sprzed czternastu lat...

Wszystko to wyłuszczył ziemianin w swej skardze do prokuratora. Tymczasem okazało się, że Miklaszewski prowadził niegdyś interesy Dąbrowskiego i był, wówczas kiedy wręczał weksel Żbikowskiemu, człowiekiem bogatym. Dąbrowski, mimo skargi złożonej do prokuratora, nie potrafił dać dość konkretnych wyjaśnień, ani też wysunąć konkretnych zarzutów. Sprawa karna została umorzona, natomiast sąd okręgowy przychylając się do wywodów pełnomocnika powoda adw. Łopuszyńskiego, zarzutów Dąbrowskiego nie uwzględnił, zasądzając należność z weksla i opatrując wyrok rygorem natychmiastowej wykonalności.

Żbikowski położył areszt na wynagrodzeniu Dąbrowskiego, jako członka rady Banku Zachodniego w Warszawie, tu jednak spotkała go nowa niespodzianka, bowiem bank odmówił dokonywania wpłat do komornika, zasłaniając się tem, że Dąbrowski... jest dłużnikiem banku i że pensja zalicza się właśnie na wierzytelność banku.

Niezrażony tem, Żbikowski pozwał Bank Zachodni przed sąd grodzki 12 oddziału, który zasądził na korzyść Żbikowskiego 364 zł., t. j. równowartość tego, co bank winien był potrącić z wynagrodzenia Dąbrowskiego. Najzabawniejsze jednak w tej całej sprawie jest wystąpienie Dąbrowskiego, który uchodzi za człowieka b. bogatego, do Urzędu Rozjemczego w Poznaniu **o przyznanie mu... ulg. przewidzianych w przepisach oddłużeniowych dla rolników!**

DWAJ „REDAKTORZY" K. z... KOEPENICK

Aferzyści z polecającemi listami

Życie polskie zawsze odznaczało się niezwykłą bujnością, wylewnością i tem, co trafnie określa przysłowie: „zastaw się, a postaw się". Nic też dziwnego, że na tak podatnej glebie rosły nietylko bzy i róże prawdziwych wartości społecznych, ale... nie brak również złośliwych ostów, czy pokrzyw z talentem maskujących się w polskim ogródku.

WARSZAWA — MAŁE CHICAGO

Wierni swej dewizie, chętnie wywlekamy na światło dzienne te rodzime osty, których niestety, z każdym dniem więcej wyrasta na gruncie Polski, a już specjalnie Warszawy. Można śmiało powiedzieć, że jeśli rozwój polskiego hochsztaplerstwa dalej toczyć się będzie w podobnie zawrotnem tempie, Warszawa napewno zdystansuje... Chicago.

„STRAŻ PAŃSTWOWA"

Od czasu do czasu, w miarę tego, jak zbierze dostatecznie dużo ogłoszeń, pojawia się na naszym rynku wydawniczym czasopismo o szumnie brzmiącym tytule: „Straż Państwowa" Wydawnictwo ma niewątpliwie duże „ambicje", drukuje bowiem czasami nawet... Kadena (prawdopodobnie bez jego wiedzy i zgody), a niechcąc stać zboku wartkiego nurtu życia, postanowiło wtrącić swoje trzy grosze do tak modnego jeszcze niedawno „przymierza polsko - niemieckiego". W związku z tem, wydawca i redaktor „Straży", emerytowany major W. P. p. Terk - Gazarow postanowił wydać „specjalny" numer niemiecki, zapraszając do współpracy dwu sławnych „redaktorów" pp. Marjusza Kelles-Krauza i Józefa Kaupego, niedawnych pensjonarjuszy jednego z ustronnych domów odosobnienia...

2 PANÓW K.

Współpraca dwu „redaktorów" wydawała się być o tyle bardziej korzystna, że nazwiska obydwu brzmią bardzo z niemiecka i przy odpowiednio rozsądnem „dyskoncie" fakt ten możnaby wcale ładnie zrealizować.

Obydwaj wymienieni, mając bogate doświadczenie, coprawda okupione długotrwałem „urolopami" więziennemi, ochoczo zabrali się do pracy. Poszły w ruch stosunki, rozdzwoniły się telefony, słowem — rozpoczął się akt pierwszy niezwykłej i w Polsce dotychczas nie notowanej, przynajmniej w tych wymiarach, „koepenickjady".

POLECENIE Z MINISTERSTWA

Traf zrządził, że p. Kaupe, który od tej chwili występuje wszędzie jako „baron von Kaupe", miał kolegę w osobie p. P. S. urzędnika sekretarjatu ministerstwa Opieki Społecznej. Wykorzystując prawdopodobnie jego łatwowierność, aferzyści uzyskują z tegoż ministerstwa pismo, chwalące koncepcję numeru niemieckiego „Straży przedniej" i wzywające odnośne władze do okazywania poparcia okazicielom pisma. Dla laika taka „bumaga" byłaby przyjemnym dokumentem, pp. Kelles - Krauze i Kaupe zrobili z niej... żyłę złota.

ŻELAZNY LIST AMBASADY

Bo cóż robią dwaj „redaktorzy"? Z pismem ministerstwa odwiedzają... Ambasadę Niemiecką, gdzie tamtejszy szef biura prasowego, radca Wilm Stein, widząc oficjalny dokument, wystawia „p. redaktorom" równie list polecający do wszystkich organizacyj niemieckich istniejących na terenie Rzeczypospolitej.

Tak oto, zgrana dwójka aferzystów zdobywa sobie żelbetowy fundament do dalszej, hochsztaplerskiej działalności. Mając dwa pisma w kieszeni, Kelles - Krauze i Kaupe postanawiają wymienić je na... brzęczącą monetę, bo wszakże o nią przedewszystkiem chodziło, a nie o numer niemiecki, który nota bene po dziś dzień nie ukazał się...

POLECENIE ZWIĄZKU NIEMCÓW

Bez chwili namysłu, obydwaj wyjeżdżają w teren, na Pomorze, zbierać ogłoszenia od Niemców, właścicieli posiadłości ziemskich. Jednakże—zarówno Ministerstwa, jak i Ambasada są daleko, trzeba ich niewątpliwy autorytet bardziej „zlokalizować". W tym celu dwaj panowie K. zwracają się do trzech związków Niemców, w Poznaniu, Bydgoszczy i Toruniu, gdzie legitymując się urzędowemi papierami bez trudu uzyskują listy wspomnianych Związków, listy apelujące w gorących słowach do niemieckiej własności ziemskiej, aby życzliwie przyjmowała „delegatów" Ministerstwa, którzy udają się w teren celem „dokonania inspekcji wzorowych gospodarstwach niemieckich".

Pomijamy narazie milczeniem podłość tej roboty z punktu widzenia polskiej racji stanu, roboty przeprowadzanej w tej części Polski, która, mimo paktów i sojuszów nie przestaje żywo interesować Rzeszę. Nad tą sprawą przejdźmy narazie do porządku dziennego, wymaga ona bowiem specjalnego naświetlenia.

„DELEGACI" W LIMUZYNIE

Mając w kieszeni oprócz listów Ministerstwa i Ambasady, trzy listy polecające Związków Niemców, dwaj panowie K. przystępują do ekwipunku. Więc wynajmuje się wspaniałą limuzynę prywatną, odpowiednio instruuje szofera, który swych chwilowych chlebodawców ma tytułować bądź „redaktorami", bądź „baronami" lub „dyrektorami". Jak widać asortyment tytułów nader obfity.

Rozpoczyna się złote żniwo pomysłowych aferzystów. Oto kilka najbardziej charakterystycznych próbek:

WIZYTACJA MAJĄTKÓW NIEMIECKICH

„Delegaci" znajdują się pod Chojnicami. Przed piękny pałac jakiegoś obszarnika niemieckiego zajeżdża luksusowa limuzyna. Wyprężony szofer z obnażoną głową otworzył już drzwiczki i pomaga wysiadać panom „delegatom". W pałacu poruszenie. Na ganek wybiegają domownicy. Jeden z „delegatów" zapytuje o gospodarza. Owszem, jest, zaraz przyjdzie. Istotnie, zjawia się, uprzejmie zapytuje kogo ma przyjemność... i w jakim celu... „Delegaci" rozgaszczają się i możliwie kwieciście przedstawiają cel swej wizyty. Każde słowo poparte jest dokumentem. Potem garść komplimentów, że majątek pięknie utrzymany, że podczas swej inspekcji niemieckiej własności ziemskiej widzą poraz pierwszy równie wzorowe dobra, że zrobią piękne zdjęcia fotograficzne, że wszystko to znajdzie się w ozdobnym albumie... Jeszcze raz przedstawiają pisma polecające, listy od swoich, od Niemców... Oczywiście, pewne koszta... ale to drobiazg. Padają cyfry, zależnie od kogo i gdzie. Gospodarz krzywi się lekko, że zadużo, że ciężkie czasy, ale ostatecznie, po krótkim targu panowie „delegaci" okazują się względniejsi i redukują cenę z 1,000 zł. na 500 lub z 2,000 na 1,000. Zdarza się, że ziemianin niema w domu gotówki, więc czek na jakiś banczek niemiecki, czy nawet dobre weksle. Aby handel szedł. Interes ubity, teraz można trochę odpocząć w pięknej posiadłości, orżnąć przy okazji domowników w pokera, „podyskutować z przystojną żoną czy córką właściciela, w ostateczności z pokojówką... Życie jest piękne.

Tak mija dzień po dniu. Dziesiątki, setki.

Ale, mimo doskonałych zarobków, „delegaci" wiedli zbyt rozrzutny tryb życia. A to się mści przy takiej „koronkowej" robocie.

SETKA TEŻ PIENIĄDZ!

Ot, naprzykład przyjechali do Poznania. Mieli tam jakiś interes grubszy obrobić przy pomocy Związku Niemców. Ale cóż? Trzeba było poczekać jeden dzień na załatwienie jakichś tam formalności. „Delegaci" byli niecierpliwi. Oni, którzy jeszcze wczoraj operowali tysiącami i mieli perspektywy na zrobienie dalszych tysięcy, nie wytrzymali... Powołując się na polecenie dyr. Związku Niemców w Poznaniu, p. Kenenta, poszli do jakiejś firmy po ogłoszenie za... 100 zł. Przezorny właściciel firmy wolał porozumieć się z p. Konnertem. Zatelefonował do niego. Oczywiście tamten o niczem nie wiedział. Jakto? Panowie, którzy byli u niego, „delegaci Ministerstwa", łażą za ogłoszeniami... o mały włos nie skończyło się wszystko tragicznie dla pp. K., ale — w porę przeczuli „pismo nosem" i uciekli czemprędzej.

Z REKINÓW... PŁOTKI

Pojechali do Bydgoszczy, zaczynając już puszczać się na drobne „kanty". Więc fałszowanie deklaracyj ogłoszeniowych jednego z tygodników warszawskich, przerabianie sum, przez... dopisywanie zer, słowem z dużych „rekinów" zaczęli przeistaczać się w zwykłych „pajęczarzy", jak wiadomo najniżej szacowanych w kunszcie przestępczym.

CHLEBEM I SOLĄ

I to właśnie oni. Oni, którzy śmiało mogą sobie powiedzieć, że są bohaterami największej w Polsce „koepenickjady". Oni, których z orkiestrą, sztandarami, chlebem i solą witały niemieckie delegacje na dworcach kolejowych miast pomorskich, których fetowano w Toruniu w znanym „Dworze Artusa", którzy na bankietach przyjmowali, niby wilkorządcy, hołdy mniejszości niemieckiej, którzy przemawiali kwieciście, pozwalali innym przemawiać, sławić siebie i niedawnie czcić...

Na dobro wydawcy i redaktora Straży Państw" trzeba stwierdzić, że zdołał w porę odseparować się od swych „znakomitych" współpracowników, którzy dalej już na własną rękę „pracowali nad zbliżeniem polsko-niemieckiem", wykazując w tej pracy impanujący talent hochsztaplerski.

6 TOMÓW ŚLEDZTWA

Ale po „wypadku" poznańskim, „delegatami" zainteresowała się policja. Rozesłano za nimi listy gończe i penetrując bacznie Pomorze, obydwu zatrzymano w Chojnicach.

Rozpoczęło się śledztwo. Zajęło ono narazie 6 grubych tomów, bo to cośmy przytoczyli, to zaledwie nikłe fragmenty „owocnej" działalności dwu pp. K. Były w dziedzinie akwizycji ogłoszeniowej różne afery. Były szantaże, wymuszenia, pogróżki, telefoniczne „protekcje", naciski, etc., ale takiej sprawy, jak „koepenickjada" Kelles - Krauza i Kaupego roczniki kryminalne chyba jeszcze nie notowały.

Dzisiaj obydwaj „genjusze" w zaciszu Mokotowa i Pawiaka mają możność obmyślać nową aferę, którą napewno zaczną realizować natychmiast po opuszczeniu murów więzienia, tym razem misterniej, lepiej, chociażby dla tego, że będą mieli większe doświadczenie.

HIJENY!

Tymczasem sprawa jest zbyt poważna aby patrzyć na nią przez palce, gdyby podobne afery „prasowe" zdarzały się w Niemczech, Francji, Ameryce czy nawet Rumunji, w którem-kolwiek z tych państw, gdzie prasa jest potęgą, gdzie nakłady pism zaczynają się od setek tysięcy egzemplarzy, tam wszędzie pp. Kelles - Krauzowie czy Kaupeowie byliby zwykłymi, nieszkodliwymi „kanciarzami". W naszych stosunkach występy ich urastają do niebywałych rozmiarów, stwarzając zgoła tragiczne dla uczciwie pracującego ogółu dzieninkarskiego następstwa.

W naszych warunkach, każda afera podobna do powyższej, to jeszcze jeden głaz oddzielający społeczeństwo od prawdziwego dziennikarza, to jeszcze jedna okazja do traktowania tego dziennikarza „per noga", bo niema on napewno tyle tupetu, ile w swej „zbożnej pracy" wykazują chociażby pp. Kelles - Krauz i Kaupe, znakomici „rzecznicy" zbliżenia dwu narodów.

Wal.

Führer P.P.R.

I jego filmiarze

Były ambasador Rzeczypospolitej w Washingtonie, a obecnie führer nowopowstałej Polskiej Partji Radykalnej p. Tytus Filipowicz, w programie Partji opublikowanym w 1 numerze partyjnego organu, bezskutecznie kloportowanego na ulicach Warszawy, wyraźnie podkreśla antysemickie nastawienie P.P.R.

Znów skłonni byliśmy z pełnem uznaniem schylić czoło przed człowiekiem, który zamierza zlikwidować rozwielmożnione żydostwo polskie, cóż, kiedy i p. Filipowicz nie jest w tej sprawie bez „ale".

Okazuje się bowiem, że b. ambasador Rzeczypospolitej jest jednym z 4-ch wspólników wytwórni filmowej „Panta - film". Trzej pozostali wspólnicy, to pp. Sieroszewski, Goetel i Weronicz. Który z nich jest Żydem chrzczonym, to mniejsza, natomiast warto podkreślić, że pierwszy i bodajże ostatni film tej wytwórni, niefortunny „Dzień wielkiej przygody" wyprodukowało 2 rasowych Aryjczyków, przynajmniej w oczach wodza Polskiej Partji Radykalnej p. Filipowicza. Nazwiska tych panów brzmią: **reżyser Szaro i operator Steinwurzel...**

„REWIZOR" SZALEJE w TKKT

Role obsadza... pan prezes!

Omawiając w trzech kolejnych numerach „Wiem Wszystko" palące bolączki teatralne osławionego już koncernu T. K. K. T., pomijaliśmy dotychczas, z pełną zresztą świadomością, atmosferę jaka w koncernie tym panuje i przyczynia się do wielu wręcz absurdalnych poczynań kierowników tej niezwykłej imprezy.

ARNOLD SZYFMAN

Człowiek, dla którego sprawy teatru w Polsce nie są sprawami zupełnie obcemi, niemoże np. pojąć beznadziejnego mentliku w tem T. K. K. T., gdzie wśród plejady najróżniejszych dyrektorów, prezesów, kierowników, lektorów, generalnych i zwykłych sekretarzy, jest również dr. Arnold Szyfman.

MINUSY I PLUSY

P. Szyfman jest dla nas postacią raczej antypatyczną. Mierzi nas jego merkantylność, jego nazbyt kupieckie traktowanie sztuki teatralnej, te 8.000 zł., które regularnie wyciąga z T. K. K. T. nie licząc się z żadnemi względami. To wszystko są, naszem zdaniem, aczkolwiek sprawy ludzkie, to przecież u człowieka teatru, jakim niewątpliwie jest p. Szyfman, zapisujemy je na minus.

Na plus zato trzeba zapisać jego fachowość, zrozumienie teatru, nieliczne, ale przecież istniejące pozycje szczerze artystyczne, chociaż „nie kalkulujące się", to jednak wystawiane na scenach b. teatrów szyfmanowskich.

FACHOWIEC

W tych swoich teatrach wiedział p. Szyfman w jakiej roli należy obsadzić Modzelewską, w jakiej Romanówną, a w jakiej Munclingrową. Co powierzyć Stępowskiemu, a co Samborskiemu. Jeśli robił pewne, rzadkie zresztą odchylenia, to jedynie dla p. Przybyłko, ale te odchylenia polska sztuka teatralna może mu przebaczyć z lekkiem sercem już chociażby tylko dlatego, że p. Przybyłko na kartach tejże sztuki zapisała się wspaniałemi zgłoskami.

Zdawałoby się więc, że w koncernie T. K. K. T., w powodzi ludzi absolutnie w teatrze nie zorjentowanych, w powodzi dyletantów, właśnie Szyfman będzie tym, który nie ograniczy się jedynie do inkasowania 8,000 zł. miesięcznie, ale zużyje swe wieloletnie doświadczenie na utrzymanie właściwej postawy artystycznej koncernu.

Tymczasem...

Od początku istnienia T. K. K. T. zaczęły się rozgrywać za jego kulisami dziwy niepojęte już nietylko dla „szarego człowieka" ale dla co najlepszych znawców teatru.

ATMOSFERA PROTEKCJONIZMU

W jednym z poprzednich numerów pisaliśmy jak to rolę młodziutkiej, uwiedzionej dziewczyny powierzono... Ćwiklińskiej, jak to w tej chwili w całym koncernie T. K. K. T. niema naprzykład najmłodszej chociażby aktoreczki, któraby zgodziła się zagrać rolę... pokojówki, bo każda, choćby wczoraj z PIST-u przybyła adeptka już choruje na... „gwiazdę" i już — sabotuje reżysera i dyrekcję jakimś niesłychanie „wpływowym" protektorem.

„REWIZOR" REDIVIVUS

I oto rozgrywa się w T. K. K. T., tym razem naprawdę nieśmiertelne przedstawienie gogolowskiego „Rewizora". Czort wie, a nuż naprawdę jest przyjaciółką ministra X. czy pułkownika Z., a nuż naprawdę zadzwoni tamten do Kadena czy którego z licznie uwijających się po kuluarach T. K. K. T. rotmistrzów i każe „skurtyzować" subwencję...

„CO SŁYCHAĆ U ANDRZEJKÓW?"

Nie będziemy gołosłowni. W domu jednego z ministrów, na od czasu do czasu urządzanych przyjęciach bywała nietyle zdolna, ile wścibska aktoreczka. Wyższy urzędnik ministerjalny, który tam właśnie poznał ja, po paru miesiącach spotyka „gwiazdę" w jednej z ościennych stolic. „Gwiazda" siedzi w kawiarni w towarzystwie szajki mocno podejrzanych panów z t. zw. branży filmowej i chociaż podczas przyjęć u ministra X. ze wspomnianym urzędnikiem zamieniła co najwyżej dwa słowa, teraz zrywa się biegnie do rodaka, nieomal rzuca mu się na szyję, no i oczywiście po niemiecku, tak głośno aby cała kawiarnia, a przedewszystkiem jej towarzysze słyszeli pyta:

— Kochany, cóż tam słychać u Andrzejków?! (umyślnie podajemy zmyślone imię ministra...)

Zmieszany i zaskoczony urzędnik nie wie o kogo pyta piękna pani, ale ona już wyjaśnia:

— No przecież u kochanego ministra, gdzieśmy się tak znakomicie bawili...

Czy ten, pozornie błahy przykład nie jest dostatecznie wymowny?

SPRYTNE DYSKONTO

Nie łudźmy się, ta „gwiazda" lekkomyślnie wprowadzona do salonów ministra czy innego podsekretarza stanu, od tej chwili nie zaniedba już żadnej okazji, aby jaknajkorzystniej dyskontować ten mało istotny, dla przeciętnego człowieka fakt.

Tu trzeba stwierdzić, że tylko 50% winy spada na aktora czy aktorkę, pamiętajmy, że gros tych ludzi, to wielkie dzieci, które t. zw. stosunkami cieszą się mniej więcej tak, jak murzyn kolorowemi szkiełkami.

ALE I WY NIE JESTEŚCIE BEZ WINY

Drugie 50%, a kto wie czy nawet nie więcej, obciąża tych właśnie naszych dygnitarzy, którzy wzorując się na swych francuskich kolegach chętnie płyną na fali snobizmu, zapominając jednak, że na takie „snobistyczne sztuczki" my jesteśmy zabiedni, że niestać nas na forytowanie krowient czy młodych literatów, którzy wyjeżdżając zagranicę za pieniądze MSZtu, występy swe na obcym terenie rozpoczynaja od... spoliczkowania sekretarza polskiego poselstwa.

DLA „SZTUKI" WSTĘP OTWARTY

O tem się zapomina i oto wysoki dygnitarz państwowy, do którego niesposób dostać się nie złożywszy uprzednio przynajmniej 10 wizyt sekretarzom i nie straciwszy w poczekalni conajmniej 20 godzin, natychmiast przyjmie jakąś pindulkę czy kabaretowego „autora", który „wpada tylko na chwileczkę, żeby kochanemu ministrowi przeczytać nową, świetną piosenkę Szlechtera".

DYGNITARZ „OBSADZA"

Rezultat... Nie dziwny się, że zamiast reżysera czy chociażby fachowego dyrektora teatru, jakąś sztukę Szekspira obsadza... prezes banku państwowego, szef departamentu czy już conajmniej naczelnik wydziału.

Nie dziwmy się, że kłębią się w T. K. K. T. opary protekcjonimu, że byle beztalencie na smukłych nogach i z ładnie „zrobioną" buzią grozi reżyserowi, że „jeśli pan jeszcze raz odważy się zaproponować mi takiego „ogona", to Kaziutek z którym dzisiaj byłam w „Paradisie" każe wam cofnąć subwencję", a Kaziutek jest przecież porucznikiem ułanów w rezerwie, a przytem dyrektorem departamentu kucia koni w ministerstwie robót zbytecznych...

MARNIEJE SCENA POLSKA

Gdyby to wszystko działo się tylko za kulisami, byłoby pół biedy, ale przykra, dusząca atmosfera protekcjonizmu przedziera się nazewnątrz, zabija prawdziwą sztukę, tę sztukę, które tyle dziesiątków lat, jak żaden ambasador i spec od propagandy sławiła Polskę i akcentowała jej istnienie w świecie. I to jest smutne, i stem trzeba bezwzględnie skończyć w imię istnienia Sceny Polskiej, tak wielkiej i wspaniałej, jak było to do niedawna, jak jest jeszcze dzisiaj, jednakże nie w teatrach ozdobionych szyldem Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej, a u Jaracza, u Adwentowicza, u tych artystów z prawdziwego zdarzenia, którzy ani myślą dyskontować swych prywatnych stosunków.

Krzysztof Miłosz.

List otwarty

do pani X

Łaskawa Pani!

Dwa tygodnie temu wracała Pani pociągiem z jednej z ościennych stolic. W przedziale oprócz Pani jechał tylko młody człowiek, jak się potem okazało — również Polak, świeżo upieczony urzędnik jednego z ministerstw, który w sprawach służbowych jeździł zagranicę.

Gawędziliście Państwo ze sobą nader mile, zwłaszcza, że Pani spółtowarzysz podróży jest niewątpliwie czarującym człowiekiem. Był on w stosunku do Pani iście po sarmacku uprzejmy i gotów do wszelkich usług.

Ta właśnie jego uprzejmość skłoniła Panią do zwierzenia się przygodnemu spółtowarzyszowi długiej i monotonnej podróży, że... wiezie Pani w walizce dwa tuziny pończoch jedwabnych, których zagraniczne pochodzenie może na granicy wywołać poważne zastrzeżenia celników, że z tego tytułu może Pani mieć przykrości, których możnaby uniknąć gdyby... pończochy wziął na przechowanie rodak, którego jako urzędnika napewno celnicy polscy rewidować nie będą.

Towarzysz Pani, jak zaznaczyliśmy już, jest bardzo uprzejmy i równie młody, pomijając więc wszelkie inne, ewentualne elementy, któreby przemawiały za Panią, rozumiemy że — zaofiarował swe usługi i dwa tuziny jedwabnych pończoszek ukrył troskliwie we wszystkich możliwych kieszeniach swego ubrania.

Na granicy trzeba było przedstawić paszporty. O tem spółtowarzysz podróży Pani, zapomniał. Wyjmując dokument, wyciągnął go razem z... jedwabną pończoszką!

Zrobił się skandal, zwłaszcza, że celnik zdecydował się przeprowadzić rewizję osobistą i przy młodym urzędniku ministerjalnym znalazł... 2 tuziny jedwabnych pończoch damskich amerykańskiego pochodzenia.

Możemy pocieszyć Panią. Młody człowiek, zdając sobie dokładnie sprawę z komplikacyj jakie mu grożą nie powiedział skąd ma te pończochy, nie tłumaczył się, że chciał poprostu wyświadczyć grzeczność Pani. Zresztą prawdopodobnie takie tłumaczenie na nic by się nie zdało.

Pani pojechała dalej. Urzędnika zatrzymano i po spisaniu protokułu — wrócił do Warszawy. Tu dopiero rozpoczęła się jego tragedja.

Na wstępie zaznaczyliśmy, że jest to jego pierwsza posada, otrzymana po długich studjach i jeszcze dłuższych staraniach. Trudno jednak tolerować urzędnika, który jadąc w sprawach służbowych, przemyca pończochy... Pani nieszczęśliwy spółtowarzysz jest wzorowym gentlemanem i w dalszym ciągu niechce wyjawić swym przełożonym prawdy. Gdyby to zrobiła Pani, sprawa jego sprowadziłaby się prawdopodobnie do surowej nagany. Bez tego, zdaje nam się, że karjera młodego człowieka będzie skręcona raz na zawsze. Na marne pójdą studja, na marne żmudne starania, na marne wszystkie plany. Czy myśli Pani, że te jedwabne pończoszki warte są takich ofiar?

Czy niechciałaby Pani pomóc temu młodzieńcowi? Wierzymy, że Pani wyjaśnienia jeśli nie zlikwidują sprawy zupełnie, to w każdym razie znacznie przyczynią się do złagodzenia kary, jaka ma spaść na równie młodego jak uprzejmego spółtowarzysza podróży.

Jak on, nieznamy nazwiska Pani, niewiemy gdzie szukać Pani, ale może właśnie ten tygodnik trafi do Pani rąk, może Pani przeczyta ten list i — może się Pani zdecyduje.

Za przychylną odpowiedź bylibyśmy Pani szczerze wdzięczni.

Redakcja.

P. S. Ewentualny list prosimy przesłać pod adresem Redakcji, telefonicznie, w godzinach urzędowania to zn. 11 — 1.

Trafiła kosa na kamień

Do urzędu prokuratorskiego wpłynęła już skarga przeciwko „czarnoksiężnikowi" z ulicy Żórawiej Szyllerowi Szkolnikowi.

Skargę wniosła b. kasjerka teatrzyku Mignon p. Siemiatycz, od której sędziwy oszust wyłudził kaucję i następnie nie zwrócił jej. Dochodzenie w tej sprawie prowadzi wice prokurator 6-go rewiru. Sprawa jest tembardziej oburzająca, że wyłudzona przez hochsztaplera kwota stanowi cały majątek pokrzywdzonej pracownicy — a równa się dziennym wpływom „chiromanty".

Osobie oszusta z ulicy Żórawiej poświęcimy prawdopodobnie jeszcze nieraz wiele miejsca.

„Szanowny pan w szmuglowanym garniturku?"

Straż graniczna wykryła nową aferę przemytniczą

Niedawno toczył się w sądzie proces właściciela firmy „Ewelina" Michała Waksmana, który zasiadł na ławie oskarżonych pod zarzutem przemytu modeli zagranicznych z Berlina. Wytworne damy z wytwornego warszawskiego towarzystwa **ubierały się w przemycane przez Waksmana i jego adherentki stroje berlińskie.** Poza Waksmanem odpowiadała jedna z „kurjerek" organizacji przemytniczej **pani Graubardowa,** jasnowłosa blondyna o wyzywającej urodzie, ubrana z wyszukaną, iście paryską elegancją.

Druga elegantka, niejaka Szenwitzowa, która również przewoziła w swoich kufrach przemyt zdołała przezornie zbiedz.

Proces firmy Ewelina rzucił ciekawe światło na kulisy procederu przemytniczego w zakresie sprowadzania artykułów damskiej mody.

W toku składania zeznań **przez komisarza straży granicznej Kuźmińskiego,** którego energji zawdzięczać należy zdemaskowanie afery, padło pytanie obrońcy.

— A czy inne domy mód w Warszawie również przemycają modele?

— Tak — odpowiada komisarz Kuźmiński — **niemal wszystkie pierwszorzędne magazyny warszawskie znajdowały się pod zarzutem przemytu.**

Przykładowo wyliczył komisarz Kuźmiński firmy: „Goussin Catley" Myszkorowskiego, etc.

Poza braćmi Jabłkowskimi i Herse, jak wynikało z dalszej treści zeznań, wszystkie pierwszorzędne zakłady **zajmowały si- nielegalnem sprowadzaniem zagranicznych modeli.**

Wyrok sądowy, wyrok surowy, przypieczętował przestępstwo na szkodę Skarbu Państwa, ale sprawa nie została przez to samo załatwiona i wyjaśniona.

Jednocześnie toczy się obecnie dochodzenie w podobnej sprawie. Władze straży granicznej odkryły, że wielu elegantów, tym razem płci męskiej zajmowało się przemytem **swoich ubrań z Wiednia, z słynnej firmy Kniża.**

Afera zakrojona była na skalę bardzo szeroką, Przedstawiciele Kniża w Warszawie zdejmowali miarę i przesyłali ją do Wiednia. Tutaj wykonywano garnitur i przez „zieloną granicę" przesyłano do Warszawy. Niektórzy urządzali się inaczej. W czasie bytności w Wiedniu zaopatrywali się w kilka, a nawet kilkanaście garniturów, które następnie przewożono do Warszawy. Wielu amatorów kroju wiedeńskiego korzystało specjalnie z popularnych wycieczek, ażeby zrobić zakupy w najdroższym magazynie konfekcji męskiej Europy.

Władze straży granicznej wpadły na trop tej afery. Ustalono, że w Warszawie **liczba klijentów wiedeńskiego Kniża była wielokrotnie większa niż** jakiegokolwiek warszawskiego krawca. Rozpoczęto poszukiwania, przeprowadzono **około 1.000 rewizyj.** Wytworni panowie, w wytwornych wiedeńskich garniturach musieli godzinami czekać na swoją kolejkę do przesłuchania przez straż graniczną.

Zostaną oni ukarani. Kary jednak powinny być bardzo surowe. Przemyt zwłaszcza artykułów luksusu, czyniony przez obywateli bezwzględnie dostatecznie uświadomionych, rekrutujących się z sfer w każdym razie inteligencji, w dobie **ciężkiej konjunktury winien być szczególnie surowo tępiony.**

W Rzeszy do najostrzej karanych przestępstw należą wykroczenia przeciwko ograniczeniom dewizowym. I iluż to duchownych, iluż to mnichów siedzi za kratami za usiłowanie złamania tego zakazu.

Ale jest i jeszcze jedna strona tegoż samego medalu. Krawcy warszawscy i domy mód zdzierają tak kolosalne sumy, że przemyt strojów męskich i damskich staje si- specjalnie wielką atrakcją, a już napewno lepiej się kalkuluje.

Pomijając już, **że w Londynie można sobie sprawić trzy garnitury za te same pieniądze, które kosztuje w Warszawie w każdym razie nielepszy garnitur w pierwszorzędnym zakładzie,** niema kraju, gdzie jednocześnie możnaby byłaby równie tanio zaopatrzyć się w garderobę. Przytem wszystkim największa różnica polega w cenie robocizny. W tych warunkach warszawscy krawieccy lichwiarze dorabiają się nawet w dzisiejszych czasach kolosalnych fortun. **Krawiec Weinapel nabył niedawno trzecią kamienicę, krawiec Nisson buduje kosztem ok. miljona złotych wspaniałą kamienicę czynszową przy ul. Chocimskiej.**

Jeżeli lichwa na tym odcinku zostanie ukrócona wówczas automatycznie, ustanie przemyt modeli i garniturów od Kniża i t. p.

Adam R.

ZŁOTE INTERESY PANA O.

Czy wie o nich „Orbis"

Dla wielu entuzjastów, teatr, po dziś dzień pozostaje niepokalaną świątynią sztuki, wielu sceptyków, mówiąc o teatrze jako o interesie, macha lekceważąco rękami. A tymczasem... okazuje się, że jest to równie dobry bussines, jak — fabryka mydła, czy export bekonów. Trzeba tylko umiejętnie zabrać się do tego interesu.

SZLAGON — BUSSINESMAN

Niewątpliwie wielki talent w tym kierunku wykazuje znakomicie znany teatrom warszawskim p. Czesław Opulski, sympatyczny, starszy pan z sarmackiemi wąsami i niepokalanemi manjerami szlagona, który włości swe zostawił... po tamtej stronie granicznego kordonu.

P. Opulski postanowił robić kokosy na... biletach teatralnych i w tym celu, przed laty wynajął część lokalu Polskiego Biura Podróży „Orbis" w al. Jerozolimskich róg Marszałkowskiej, instalując tamże biuro przedsprzedaży biletów teatralnych.

„ORBIS" FIRMUJE...

W roku ub. tenże p. Opulski uzyskał dla swego, zresztą b. dobrze prosperującego przedsiębiorstwa firmę „Orbisu", co — zdawaćby się mogło powinno jeszcze bardziej wpływać na utrwalenie solidności imprezy.

Widocznie jednak p. Opulskiemu bardzo zależy na tem aby szybko zrobić magnacką fortunę i kupić sobie... drugiego, nowszego Pockarda, bo oto rządzona przezeń Kasa Teatralna „Orbisu", istniejąca rzekomo w pierwszym rzędzie dla wygody publiczności teatralnej, dla której niezawsze na rękę jest kupować bilety bezpośrednio w kasie danego teatru, mimo pobieranej od wszystkich teatrów wysokiej, bo 7,3 % sięgającej prowizji, uprawia niezbyt chwalebny proceder.

10-GROSZOWE DODATKI.

Wbrew umowom z teatrami i bez ich zgody Kasa Teatralna „Orbisu" bierze od naiwnego klijenta, który pragnie nabyć bilet, cenę nominalną plus... 10 gr. dla siebie. Wielu płaci, przypuszczając, że tak trzeba, jednakże olbrzymia większość ludzi pracy, dla których każde 5 gr. stanowi swoją, nader istotną wymowę, reklamuje w administracji, teatrów, które skolei bezskutecznie starają się skłonić p. Opulskiego do zaprzestania tego rodzaju, zdecydowanie oszukańczych machinacyj.

CZASAMI WIĘCEJ!

Wedle krążących pogłosek na poważniejsze koncerty, bądź bardziej sensacyjne występy gościnne „dodatki" Kasy Teatralnej wzrastają proporcjonalnie do ceny biletów sięgając nieraz 1 zł. W związku z tem, jedno z biur koncertowych wystąpiło nawet przeciw Kasie Teatralnej „Orbisu" na drogę sądową...

CO NA TO P. MJR. FULARSKI?

Ostatecznie, możnaby te „kombinacje wybaczyć p. Opulskiemu, aczkolwiek chyba jeden Packard wystarcza, ale Kasa Teatralna jest wszakże oficjalnie jedną z rozlicznych imprez „Orbisu", którego naczelny dyrektor, znakomity podróżnik polski p. Mjr. Fularski napewno zupełnie nie jest poinformowany o tym nader kompromitującym stanie rzeczy. Nie wie o tem prawdopodobnie również kontrola podatku widowiskowego Zarządu Miejskiego, wiedzą jedynie teatrv, które są bezsilne, no i wie publiczność, której te „czarodziejskie praktyki" Kasy Teatralnej „Orbisu" wcale nieidą w smak.

A może z tych 10-groszówek i większych naddatków powstał „fundusz zapomogowy" wypłacony „ciepłą rączką" koncernowi T. K. K. T. w chwili jego przedświątecznego załamania się?

Tak czy inaczej, prestiż „Orbisu" wymaga bezwzględnego i natychmiastowego wyjaśnienia „aferki" Kasy Teatralnej w al. Jerozolimskich.

M.

Przez powiększające szkło

Motto: **Mówię bom smutny i sam pełen winy...**
(Słowacki: Grób Agamemn.)

Nie jest wykluczone, że za paręset lat wybuchnie wielki spór wśród historyków polskich. Chodzić im będzie o datę śmierci Marszałka Piłsudskiego.

Wedle tradycji Wielki Marszałek zmarł dnia 13 maja. Odnośne urzędowe dokumenty w międzyczasie zaginą, ale data ta wryła się mocno w pamięć potomnych.

Tymczasem jeden z profesorów uniwersytetu w starożytnem mieście Sarnach, znalazł parę numerów gazet, doskonale zachowanych, pochodzących ze współczesnej epoki. Było tam pismo krakowskie z datą 15 maja 1935 r., kilka dzienników z datą 14-go maja nawet jeden tygodnik literacki, wychodzący w Warszawie z datą 20 maja. **W żadnym z tych numerów nie znaleziono ani najmniejszej wzmianki o śmierci Marszałka.**

Wniosek dla uczonych będzie jasny: Twórca nowej Polski umarł później, niż 13 maja.

Dopiero żmudne badania szeregu uczonych wykażą smutną prawdę, że w trzecim dziesiątku 20-go wieku gazety polskie miały brzydki zwyczaj podawania fałszywych dat. Nazywało się to technicznie: antydatowanie. Wprawdzie współczesnych tym sposobem nieoszukiwano, gdyż wszyscy o tym oszustwie wiedzieli i nawet utarło się powiedzenie: „wczoraj czytałom dzisiejszy kurjer na jutro", ale za paręset lat nikt nie będzie mógł dociec, komu potrzebna była taka maskarada.

Przyznajemy się, że i my jej nie rozumiemy. Przed kilkunastu laty ktoś wymyślił taki „trick", przez co mógł wprowadzać w błąd zamiejscowych czytelników. Przez jakiś czas była to typowa nieuczciwa konkurencja, ale powoli prawie wszystkie dzienniki małopolskie, sporo śląskich, poznańskich i wszystkie bez wyjątku tygodniki przyjęły ten niezbyt ładny zwyczaj. Wtedy „trick" przestał być „trickiem" i **powstał dziwny bałagan.**

I „Wiem Wszystko"" musiało zakrakać, „jak i one" i też podaje datę niedzielną, choć się drukuje trzy dni wcześniej. Możeby jednak jakie związki dziennikarskie pomyślały o usunięciu tego zjawiska.

Przecież tyle czasu poświęca się obecnie na rozważanie, czy korektor w gazecie ma prawo nosić tvtuł dziennikarza i nawet Sejmowi tem zaprząta się głowę — możeby warto było się zastanowić, czy antydatowanie **nie jest poprostu ulegalizowanem oszustwem?**

Może to zresztą wszystko drobnostka, ale tak mi się przez szkło powiększające wydaje.

Quaker.

Jarskie karaluchy

Przy Alei Jerozolimskiej mieści się Polska Spółka Jaroszów, która szumnie objawia wszem wobec dobrodziejstwa kuchni jarskiej i straszliwe szkody, wyrządzone przez mięso.

Wszystko jest bardzo ładne, ale wielka szkoda, że zasada jarskiej kuchni nie jest w tej jadłodajni w stu procentach przestrzegana. Ostatnio zdarza się coraz częściej, że w kalafjorze są robaczki, a w zupie karaluchy. Czyżby dla nich jarosze robili wyjątki??

Noc odsłania sekrety Stambułu

Sensacyjny reportaż specjalnego wysłannika

Przez okno niepowstrzymaną falą wlewa się hałas układającego się do snu Stambułu. Właściwie nie jest tak bardzo późno, ale gwar rozkrzyczanego straszliwie przez cały dzień miasta —milknie gdzieś koło 11 w nocy. Nie słychać przecież przeraźliwych pokrzykiwań ulicznych sprzedawców. Co pewien czas grają tylko klaksony taksówek i przelatują z głuchym pojękiem tramwaje. Mały nikłowy, pełen tajemniczości bożek telefonu ożywia nagle tak spokojną dotychczas atmosferę hotelowego pokoju. Dzwoni przeraźliwie odrywając mnie od okna, skąd podziwiałem widok rozświetlonego tysiącami latarń i lamp Złotego Rogu.

Telefon jest krótki i rzeczowy. Dzwoni jeden z moich stambulskich przyjaciół, proponując zwiedzenie nocnego życia Stambułu - eskapady oddawna planowanej. Noc jest tak cudowna, niczem nie przypominająca rozpalonego spiekotą dnia, iż odrazu decyduje się. — Naturalnie, jedziemy zaraz — mówię. Spotkanie wyznaczamy sobie na Beyoglon, tak przechrzczonej obecnie przez Turków dzielnicy Pera.

Idąc od Bosforu chłodny powiew stwarza niesłychanie przyjemną temperaturę. Jest jakoś niesłychanie rześko, ani za chłodno, ani za gorącą. Na głównej ulicy Peru spotykamy jeszcze sporo przechodniów. W kawiarniach siedzą ostatni Mohikanie, czytający od deski do deski wszystkie gazety. Przez otwarte okna mieszczącego się na pierwszem piętrze kabaretu „Sani Var“ (Czarny kot) wylewa się na ulicę melodja rozpaczliwie smętnego tanga. Policjant przesuwający ogniwka łańcuszka od gwizdka (zamiast dawnego tureckiego nawyka bawienia się bursztynowym różańcem) przysłuchuje się tej melodji wraz z kilku gapiami.

Ale tutaj w środku miasta, ściślej mówiąc w centrum międzynarodowej dzielnicy nie widać specjalnego ruchu nocnego, czy czegoś co mogłoby odróżniać nocny Stambuł od innych miats Wschodu. Przesuwają się tylko od czasu do czasu rozkołysane postacie dobrotliwie nastrojonych pijaków, od których na kilka metrów czuć specyficzny zapach ulubionego trunku „raki“. Ten zapach „raki“, czy „dusico“ identyczne z wonią anyżówki przesiąka z restauracji i szynczków, wypełniając swemi oparami wąskie uliczki Stambułu. Wśród typów sunących się wśród nocy, mój towarzysz pokazuje mi wychodzącego z jakiejś „lokanto“ (restauracji) wysokiego, siwego mężczyznę w oryginalnej czapce o białem denku. Gdzieś strasznie dawno widziałem takie same czapki. W tej chwili przypominam sobie, że to jest „furażerka“ (czapka uniform carskiej Rosji. Ten siwy mężczyzna w czarnych wygniecionych spodniach i tenisowych pantoflach niesie całe naręcz kwiatów. Sprzedaje je w restauracjach i wszystkich nocnych lokalach.

— Jeżeli widzi odpowiednich klientów — mówi mój towarzysz — to proponuje papierosy, oryginalne papierosy — jak to on powiada. Skoro zauważy zainetresowanie dla swych propozycyj zaczyna mówić o białym proszku, który tak przyjemnie się wącha. Naturalnie ma na myśli „coco“ ukrywanem wraz z morfiną wśród naręcza kwiatów.

To jest jeden z „białych“ Rosjan, którzy przybyli tu wraz z niedobitkami armji Kołczaka. Zadomowił się na dobre w Stambule i od początku, obok sprzedaży kwiatów w nocnych lokalach, zajmuje się intralnym handlem narkotyków. Podobno zebrał już około 20 tysięcy funtów, ale z tym faktem połączona jest pewna tragedja. Jako posiadacz nansenowskiego paszportu nie może wyjechać z Turcji do innego kraju. Tu zaś zmiana trybu życia jest niepodobieństwem, gdyż odrazu zwróciłaby uwagę policji.

Siwy sprzedawca kwiatów i rozkoszy znikł tymczasem w podwojach innego kabaretu „Roze Naur“ Czarna róża), my zaś z głównej ulicy skręcamy w jeden z tak typowych dla Stambułu zaułków. Uliczka niczem się nie różni od tysięcy innych, tworzących ze Stambułu prawdziwy labirynt. Na wąskiej uliczce wyglądającej tajemniczo i ponuro, której mrok rozświetla tylko jedna latarnia — widzimy pod murem kilku oberwańców w wieku 12 — 15 lat. Co mogą robić tu o tej porze? Przecież nawet za dnia na Perze i jej okolicy nie widzi się żebraków i włóczęgów. Ich królestwo to przepaściste zaułki, rozwaliska, nory i kanały nadbrzeżnej Gałaty.

— Niech pan dobrze się im przypatrzy — szepcze mój towarzysz. — Proszę spojrzeć na ich oczy. Po chwili, kiedy mój wzrok zdołał już przyzwyczaić się do ciemności uliczki widzę, iż istotnie oczy tych chłopców mają w sobie coś niesamowitego i błędnego. Jeden z nich zataczając się idzie powoli ku głównej ulicy Peru. A inni zapatrzeni w niewiadomym kierunku, siedzą nieruchomo na kamiennych schodach jakiegoś sklepiku. Wydostajemy się z mroków zaułka, idąc śladami zataczającego się chłopaka. Zbliska nie robi on wrażenia człowiekapijanego, może raczej osobnika znajdującego się w stanie silnej narkozy. Nie patrzy się na przechodniów, obojętny na otoczenie dochodzi do Peru i staje na rogu dwóch ulic, oparłwszy się plecami o mury kamienicy.

Kim są ci chłopcy? Co znaczy ich dziwny, zamglony wzrok? Co robią tu po nocy? Odpowiedź jest zgoła nieoczekiwana. To są homoseksualiści, ściślej mówiąc ofiary tego zboczenia. Jest rzeczą niesłychanie ciekawa, iż chłopcy ci w większości wypadków są nałogowymi narkomanami. Haszysz, morfina, kokaina wywołują ten chwiejny krok, zataczanie i błędne spojrzenie. Tuż obok centrum międzynarodowej dzielnicy Stambułu, na tej wąskiej i ciemnej uliczce mieści się ich punkt zborny, gdzie od godziny 5 — 6 popołudniu aż do późnej nocy można spotkać całą gromadę takich typów w otoczeniu najrozmaitszych pośredników, czy też amatorów nieco-dziennych wrażeń.

Nie jest to jednak jedyne miejsce, gdzie w Stambule można spotkać homoseksualistów. W zacisznych bilardowych salach „Luxemburg“, dokąd zaglądamy po drodze, snują się dziwne typy przesadnie ubranych młodych ludzi o bladych twarzach i podbitych oczach. W tej chwili przypominają się mi dawne, jeszcze przedhitlerowskie kluby, czy podejrzanie „męskie“ lokale. Podobno atmosfera panuje również w „Lalla Lokantasi“ (restauracja pod Eunuchem) znanej wśród nocnych włóczęgów z ciemnego zaułka. Jacyś grubi Ormianie siedzą w towarzystwie młodych chłopców o uszminkowanych dyskretnie twarzach. Całe towarzystwo jest tak zajęte sobą, iż nikt nie zwraca uwagi na nasze przybycie. Trudno jest ściślej skonkretyzować dlaczego atmosfera lokalu jest niesłychanie dziwna. Jednak jest coś takiego, co każe nam szybko opuścić progi „Lalla Lokantasi“ i iść dalej ku Galacie.

Do Gałaty w nocy, kiedy nie kursują już tramwaje i kolejki wyciągowa - trzeba iść wąskiemi spadzistemi, pełnemi wybojów uliczkami. Uliczki oświetlonemi nikłemi światłami latarń, pełne mrocznych załomów, jakichś rumowisk i ruder - wyglądają po nocy niesamowicie. Możnaby naprawdę mieć porządnego stracha, gdyby to nie był Stambuł. Bo tutaj nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Przypominam sobie podczas tej drogi opowiadanie jednego anglika; który, przeniesiony służbowo z Chin do Stambułu, przez szereg pierwszych miesięcy swego pobytu chodził wieczorem po zaułkach i uliczkach z odbezpieczonym rewolwerem. A później doszedł do wniosku, iż rewolwer obciąża mu tylko kieszeń bez najmniejszego pożytku. Dziś chodzi bez broni i — jak sam twierdzi — czuje się bardziej bezpieczny aniżeli w londyńskiej „City“.

Przechodnie, nawet ci czterej marynarze, którzy dzisiejszej nocy wypili zdaje się o jedną butelkę „raki“ zadlżo — są spokojni i dobroduszni. Pijacy tutejsi niemają w sobie nic agresywnego, napastliwego, czy zaczepliwego. Odurzeni działaniem alkoholu idą spokojnie, zatopieni w swych różowych myślach. To też do niesłychanie rzadkich wypadków należy interwencja policji spowodu jakiejś bójki, czy napaści. Jeśli nawet mają one miejsce, to wywołują je zazwyczaj przybysze, lub marynarze obcych okrętów.

Na spokojnej tafli portu Gałaty widzimy oświetlone pełnią księżycowej poświaty czarne kontury przycumowanych do brzegów statków. Pozatem jest najzupełniejsza, niczem nieprzerywana cisza. Nic nie zdradza, iż tuż obok jest cała dzielnica małych domków, które odpiero z nastaniem nocy rozpoczynają swe życie, jeśli to wogóle życiem można nazwać. Bo satmbulskie instytucje domów publicznych mają ściśle wyznaczone przez policję dzielnicę, po za które nie wolno się wydalać ich mieszkankom. Jeśli przypadkiem złapią którąś z nich po za tą dzielnicą to wówczas los jej nie jest bynajmniej do pozazdroszczenia. Kara jaka je spotyka sięga chyba jeszcze czasów średniowiecza, a fakt iż do tej pory jest praktykowana (coprawda w wielkiej tajemnicy) świadczy o niezgłębionej psychice ludzi Wschodu. Za swą napozór drobną winę spotyka ją okrutna kara: posadzenia na żelaznym koszu pełnym rozpalonych do czerwoności węgli. Za podobne barbarzyństwo połączone jest z straszliwemi cierpieniami, to rzecz zupełnie inna.

Skutkiem tej kary niesłychanie rzadkich wypadów należy wydalenie się prostytutek po za zakazaną strefę. Z szerokiej ulicy portowej skręciliśmy w lewo, potem w prawo. Wydaje się mi, iż zbłądziliśmy. Nic nie zwiastuje, abyśmy dotarli do tej „zakazanej dzielnicy“. Uliczki obsiadły małe, krzywe, chylące się ku upadkowi drewniane, parterowej wysokości domki. Gdyby nie ruch na ulicy, gdyby nie snujące się w mroku postacie jakichś przechodniów, to moglibyśmy mniemać, iż znajdujemy się w jednej z uliczek sąsiadujących z Bazarem.

Domki na pierwszy rzut oka wydają się być przeznaczone na jakieś sklepiki, a nie na mieszkania. Nazewnątrz bowiem widzi się tylko żelazne żaluzje sklepowe starannie zresztą pozamykane. Dopiero przy bliższem przyglądnięciu okazuje się, że każdy z tych rzekomych sklepików posiada w żelaznej żaluzji małe okratowane okienko. Z tych okienek przeciekają na ulice słabe światełka. Przez nie to przechodnie zaglądają do środka, oglądając siedzące wewnątrz nagie lub półnagie prostytutki. Przy jednym z sklepików trzech mężczyzn usiłuje siłą zdobyć sobie prawo wejścia. To są hiszpańscy marynarze, którzy upodobawszy sobie piękną greczynkę, chcą dostać się do środka wbrew woli gospodyni, obowiązującej się pijanych przybyszów.

Snujemy się wraz z innymi nocnymi włóczęgami temi uliczkami pełnemi sklepików o tak niedamowitym towarze. Czyż właściwie nie jest to towar? Czyż traktuje się te greczynki, syryjki, arabki, gruzinki, ormianki, rumunki, a nawet fransuzki — jak ludzi? To jest tylko „towar“ na sprzedaż. Dla każdego kto ma kilkadziesiąt piastrów w kieszeni otwierają się szeroko i gościnnie żaluzje sklepowe.

Na końcu jednej z uliczek mamy widok jakby przeniesiony z najspokojniejszej handlowej dzielnicy. Mała kawiarenka, gdzie kilku klientów gra spokojnie w „trick - track“, inni palą nargile i czytają gazety. Sztuczna atmosfera spokoju zostaje brutalnie przerwana krzykiem jakiejś dziewczyny... Po chwili przybiega w kusej koszulinie sięgającej zaledwie do pasa. Krzyczy coś, woła! Ostre gwizdki policjantów wprowadzają w zdenerwowanie klientów kawiarenki. Jesteśmy świadkami małej tragedji—okradziono jeden z „sklepików“, a dziewczyna przybiegła zawiadomić policję. Popłoch bywalców kawiarenki jest zupełnie usprawiedliwiony. Przekonywujemy się o tem zaglądając niedypodwórka do przylegającej obok kawiarenki klitki, gdzie stłoczeni jedni obok drugich: portowi „hamale“ (tragarze), marynarze, włóczędzy, handlarze uliczni i pseudo eleganckie kokoty grają w „chemin de fer“. Jest to połączone z wielkiem ryzykiem, gdyż uprawianie gier hazardowych w Turcji podlega surowym karom. Ale cóż to znaczy wobec emocji i możliwości wygranej...

Dochodzi trzecia rano. Wychodzimy z wąskich, cuchnących niemożliwie uliczek. Pod nogami przebiegają na koty, dziesiątki i setki kotów — jedna z plag Stambułu. Na niebie od strony wschodu pokazują się pierwsze zapowiedzi nadchodzącego dnia. Dosyć wrażeń — trzeba iść spać. Budzimy śpiącego nad kierownicą szofera taksówki i, zostwiając za sobą krwawą reklamę neonową tak dziwnie dysharmonizującą z bielą meczetów — wracamy pustemi ulicami do miasta. Stambuł nocy i rozpaczy zostaje się na dole. Świeże powietrze świtu pozwala zapomnieć choć na chwilę o tych tragicznych uliczkach i ich mieszkankach. Na niebie zapala się podobny do reklamy neonu świt. Jest reklamą nadchodzącego dnia.

J. R.

Dlaczego?...

Jak wiadomo, ordynacja Zamoyskich oddała skarbowi państwa na umorzenie zaległych podatków, rozliczne swoje dobra ziemskie, a m. in. las, położony przy stacji Mionczyn, na linji Włodzimierz — Zawada. Majątki przejęte przez skarb od Ordynacji, oddane zostały Bankowi Rolnemu do parcelacji. I oto przejeżdżający koleją oglądają codziennie wielce budujący widok, jak Bank Rolny wycina na sągi śliczne, kilkunastoletnie zagajniki.

Nie wątpimy, że Bank Rolny nie czyni tych dewastacyj naszych lasów nielegalnie i napewno posiada na to pozwolenie. Ludzie się jednak dziwią, jak można otrzymać takie pozwolenie na wycięcie zagajnika, podczas gdy trudno dziś otrzymać nawet pozwolenie na wycięcie starego lasu poza planem

Czyżby naprawdę...?

... właścicielkę ostrowłosego foxa p. P. spotkała przed gmachem ministerstwa rolnictwa taka niespodzianka? Oto piesek pani P. nagle zapragnął, jak powiada Wiech — „uskutecznić się“ i jak przystało na psa dobrze wychowanego zbiegł z chodnika na przysypany śniegiem trawnik przed pałacem Prymasowskim. Policjant, który był na posterunku przed gmachem ministerjalnym... spisał protokół oskarżający p. P. o... obrazę ministerstwa przez niewłaściwe zachowanie się... pieska.

✶

... dyrektor „Sileminu“, inż. Ł. był zamieszany w aferze sprowadzania bez cła galanterji męskiej ze słynnej firmy wiedeńskiej Kniże? Oprócz niego, straż graniczna, która w tej sprawie prowadzi dochodzenie, ustaliła jeszcze kilkadziesiąt nazwisk z pośród znanych przemysłowców i arystokracji polskiej?

✶

...dochodzenie w sprawie olbrzymiej afery towarzystwa asekuracyjnego „Fenix“ w Krakowie, mimo starań adwokata tej firmy, który pobiera roczne honorarjum w wysokości 120.000 zł. było prowadzone z całą energją jednocześnie przez dwa odmienne organa wykonawcze?

✶

... zarówno naczelne instytucje samorządowe, jak i jeden z największych banków państwowych tolerują i umożliwiają znakomitą egzystencję sprytnemu pośrednikowi, który uzyskuje dla wspomnianych instytucyj pożyczki zagraniczne?

✶

...córka znanego profesora żydowskiego, a żona jednego z prawników będąc w Karlsbadzie w jednej z restauracji, po nadmiernem użyciu alkoholu, zachowywała się tak nieprzystojnie, że musiała interwenjować policja czeska, zatrzymując młodą kobietę do wytrzeźwienia w areszcie policyjnym i spisując protokół o zakłócenie spokoju publicznego?

✶

... znana z licznych ekstrawagancyj, pięknych tualet i licznych, kosztownych futer artystka rewjowa, która już od paru lat nie występuje na scenie, postanowiła wstąpić do prawosławnego zakonu?

✶

...Nie można było znaleźć dla stworzenia scenarjusza filmowego o Marszałku Piłsudskim kogoś bardziej odpowiedniego niż problematyczny Polak, amator podróży naokoło świata p. Fethke?

✶

...Filar zagraniczny reportaży „Wiadomości Literackich“, znany „cygan“ p. Antoni Sobański, postanowił zorganizować „literacki klub bridżowy“ w swym luksusowym pałacyku w al. Ujazdowskich, gdzie narazie mieści się ambasada amerykańska?

✶

...wśród podań, jakie wpłynęły do ministerstwa sprawiedliwości po rozpisaniu konkursu na posadę... kata, znajdowało się podanie członka „Legjonu Młodych“ z Wieliczki? Do podania tego była dołączona opinja Komendy Głównej Legjonu, podpisana przez legjoniste Szperbera, a stwierdzająca, że... legjonista X. jest człowiekiem zdolnym i pracowitym, wychowanym w duchu państwowo - twórczym i w zupełności nadaje się do objęcia wymienionego stanowiska“.

✶

...miał przyjechać do Warszawy na „gościnne występy“ znakomity „gwiazdor“ filmowy, wygwizdany zresztą sromotnie w Budapeszcie, bohater sławnego „Poganina“ Ramon Novarro?

✶

...książka Jalu Kurka, laureata PAL, „Grypa szaleje w Naprawie“, została przetłumaczona na język rosyjski i została wydana przez Sowieckie Państwowe Wydawnictwo Książek w nakładzie ponad 10.000 egzemplarzy?

✶

...na jednej z najbardziej eksponowanych scen warszawskich miała ukazać się jako — opera komiczna — przed paru laty grana w teatrzyku na Bielańskiej operetka „Kwiat Hawaju“?

... imponujący gmach urzędu telekomunikacyjnego, wspólne dzieło przebywającego w „Gazecie Polskiej“ płk. Miedzińskiego i pozostającego w więzieniu mokotowskiem inż. Rzyszczewskiego, zarysował się niepokojąco? W związku z tem ewakuowano podobno 5 piętro, wstrzymano ruch wszystkich dźwigów, a wspaniale urządzony w piwnicach schron gazowy, zasypano piaskiem i żwirem, dla wzmocnienia fundamentów rozwalającej się budowli.

...dyrekcja poczty głównej przy ul. Napoleona spodziewała się w tych dniach napadu bandytów amerykańskich? Szarego człowieka nie na żarty przeraża olbrzymia ilość umundurowanych funkcjonarjuszów pocztowych z olbrzymimi naganami przy pasach. Trochę to po meksykańsku.

✶

...excentryczna właścicielka zielonego Packarda postanowiła wystąpić z własnym wieczorem... tanecznym?

Dysproporcje

Ze Śląska nadchodzą wieści coraz to bardziej hiobowe, coraz bardziej alarmujące. Przyzwyczailiśmy się do nich i dlatego nie zwracamy już uwagi na notatki prasowe, że — w tej kopalni zredukowano tylu to i tylu górników, w tamtej — komisarz demobilizacyjny zwolnił na urlopy turnusowe tylu to, w jeszcze innej — ograniczono czas pracy...

Ostatnio, prawie bez echa przeszedł atak baronów węglowych na pobory robotnicze i ubezpieczenia socjalne — nie wywołało zainteresowania, że jako warunek sine qua non... opłacalności produkcji należy zmniejszyć płace górnicze — co było głównym leitmotiwem delegatów kartelowych podczas ostatnich pertraktacyj w Ministerstwie Przemysłu i Handlu.

Nie od rzeczy będzie jednak zapoznać się nieco z cyframi w tej dziedzinie.

Otóż według danych Głównego Urzędu Statystycznego, górnik zarabia dziennie przeciętnie 10 zł. 88 gr., (łącznie z wszelkiemi dodatkami), robotnik kopalniany — 8 zł. 17 gr., zatrudniony pod ziemią — 8 zł. 65 gr.

Jakże jednak wyglądają te zarobki przy bliższem badaniu?

	zł.	gr.
Przeciętny miesięczny zarobek górnika	192	85
Potrącenia i zaliczka	90	—
Ubezpieczalnia Społeczna	11	32
Kasa pogrzebowa	2	—
„ pensyjna	15	—
Na wypadek bezrobocia	—	88
Fundusz Pracy	1	95
Komorne	22	50
Na robotników turnusow.	1	20
Ubezpiecz. inwalidzkie	6	—
Pozostaje netto	42	92

Robotnik na powierzchni przy przeciętnym zarobku 129 zł. 20 gr. miesięcznie otrzymuje ostatecznie po szeregu analogicznych strąceń **zł. 18 gr. 52.**

Jeżeli od tych mizernych resztek odejmiemy przymusowo ściągane składki na różne organizacje pseudo-społeczne i na pseudo-społeczne cele, co w swoim czasie wywołało szereg ostrych protestów ze strony rzesz robotniczych, gdy uprzytomnimy sobie, że ludzie ci przeważnie ze swych nędznych poborów utrzymać muszą — rodziny — zrozumiemy, że **wszyscy ci ludzie, ich żony i ich dzieci poprostu głodują!**

A teraz przeczytajmy sobie artykuł „Gazety Polskiej“ o pensjach dyrektorów koncernów śląskich, pensjach, wahających się **od 60—100 tysięcy miesięcznie!**

Uprzytomnijmy sobie, że ponad 40 osób pobiera gaże w wysokości przeszło 200 tysięcy zł. rocznie, a **kilkaset** osób — ponad 100,000!

Są to pensje **ujawnione.** A ileż lukratywnych dodatków dochodzi do tych kwot w postaci najprzeróżniejszych renumeracyj, tantjem, djet, zwrotu wydatków, funduszów dyspozycyjnych, reprezentacyjnych i „specjalnych“?

Osławiony Lawalski, którego ujawione dochody przekraczały kwotę 50,000 zł. miesięcznie nie jest bynajmniej wyjątkiem. A pp. Falther, Kramsztyk...

Zapomnijmy na chwilę o dekrecie Prezydenta w sprawie wygórowanych gaż — natomiast odtwórzmy sobie w pamięci ciekawą tabelkę cen węgla w drodze od kopalni — do konsumenta — tabelkę drukowaną niedawno przez prasę stołeczną.

Otóż kopalnia dostarcza węgiel koncernowi. Koncern dostarcza ten węgiel do własnego biura sprzedaży, które skolei odstępuje go własnym hurtowniom.

Skala cen sięga w tym łańcuchu od **zł. 11 do zł. 48 50 gr.**, z czego lwia część przypada koncernowi operującemu fikcyjnemi ogniwami cen.

I nic dziwnego, że „magnat“ Sojka kupuje sobie... pałac Poznańskich, że „sztroman“ Sileminu szasta pieniędzmi na prawo i lewo, że Wolenderski, to... polski nabab!

I co właściwie przeszkadza zająć się zbadaniem tych spraw i prześwietleniem ksiąg koncernów — jedynie powołanemu i właściwemu urzędowi — prokuraturze?

Człowiek człowiekowi wilkiem

Walka to sens życia. Ludzie żyją poto, żeby walczyć, a walczą poto, żeby żyć. Sprzymierzenia, przyjaźń to chwilowe konstelacje w interesie wojujących jednostek.

Minęło wiele wieków od czasów wygłoszenia tych maksym, tymczasem wraz z postępem cywilizacji, teza ta zdaje się coraz bardziej utwierdzać się. Życie jest areną wiecznej walki. Zresztą walczą nie tylko ludzie. Wojna jest symbolem życia zwierzęcego. Wilk pożera owce, drapieżny orzeł porywa jagnię.

Tylko zwierzęta domowe są jeszcze tako jako usposobienia pokojowego.

Zato to pokojowe usposobienie nie udziela się bynajmniej właścicielom tych zwierząt. Bo oto w Warszawie od wielu lat toczyła się walka na śmierć i życie między dwoma towarzystwami opieki nad zierzętami. Liga Przyjaciół Zwierząt i Towarzystwo Opieki nad zwierzętami, pozostawały w stosunkach podobnych do włosko - abisyńskich.

Geneza tej wojny, jak to zresztą przeważnie bywa, była natury osobistej. Kilka osób chciało uzyskać stanowisko prezesa. A że nie może być kilku prezesów w jednej instytucji, nastąpiło rozbicie.

Ale nie na tem koniec.

Między poszczególnemi „filarami“ towarzystw rozpoczęły się wojny personalne. Zarzewiem walki stała się kłótnia na śmierć i życie między dwiema czcigodnemi damami.

Pani baronowa Kosińska właścicielka pałacyku przy ul. Al. Szucha pogryzła się ze swoją najbliższą przyjaciółką, śpiewaczką miss Craford. Kłótnia zresztą zrodziła się na podłożu natury materjalnej. Panie zawarły jeszcze przed laty jakąś tranzakcję, mocą której Kosińska odstąpiła część pałacyku śpiewaczce. Potem Kosińska twierdziła, że umowa była fikcyjna, a mistrzyni głosu dowodziła, że wypłaciła za odsprzedaż żywą gotówkę.

Skutki tej kłótni nie były zbyt miłe dla Towarzystwa, które mieściło się w lokalu baronowej. Bo oto w czasie posiedzeń zarządu, pani Craford, ażeby umilić obrady ćwiczyła swój piękny głos.

Czyniła to jednak tak jednostajnie, że członkowie zarządu dostawali ataku melancholji i czempręd zamykali posiedzenie.

Potem sprawy przyjęły już obrót o wiele groźniejszy. Pani Craford rzuciła na baronową Kosińską straszliwe oskarżenie, że otruła jednego z jej dwudziestu piesków, pani Kosińska nie pozostała dłużna, wysuwając podobnie groźny zarzut.

Epilogiem tych swarów była sprawa w sądzie grodzkim 9-go oddziału... o zatkany zlew, poczem baronowa Kosińska rozgoryczona na część swoich przyjaciół, też opiekunów zwierząt, opuściła Polskę i przeniosła się do swoich latyfundjów w Anglji. Na miejscu pozostała Berta Craford.

Ostatnio walki między towarzystwami trochę ucichły, zapanował pokój i oto gruchnęła nieprawdopodobna wieść, — towarzystwa się łączą.

Niebawem odbędzie się wspólne posiedzenie. Biała chorągiew została wywieszona! Chyba, że baronowa Kosińska przybędzie specjalnie z Anglji i założy swoje weto.

R-en.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Mycie głowy" (Cyrulik Warszawki).— Zimińska bis, bis, bis. Resztę można sobie darować, bo jest to pierwszy, od początku sezonu, b. słaby program Cyrulika, widać wyraźnie, że Hemar nie dopisał... więc ewentualnie, za b. tanim bilecikiem, ale tylko dla Zimińskiej.

pop.

✶

„Nie odchodź odemnie" (kino „Europa") Scenarzysta tego filmu powinien otrzymać złoty medal za głupotę scenarjusza, nagromadził bowiem w nim rekordową porcję idjotyzmów. Od całkowitej zagłady ratuje film niepospolita gra znakomitej tragiczki Elżbiety Bergner. Reszta zespołu na bardzo miernym poziomie. Kilka ślicznych zdjęć górskich i kilka oklepanych widoczków Wenecji. Reasumując: kto lubi Elżbietę Bergner, może kupić ulgowy bilet.

„Potwór" (kina „Majestic").

Film ten gorąco polecamy wszystkim amatorom silnych emocyj. W każdej niemal scenie tego doskonałego filmu kryminalnego wyczuwa się lwi pazur reżysera Juljen Duviviera. Gra aktorów doskonała. Wyróżniają się Inkiszyniew, Gina Manes, Gaston Jacquet i Hary Baur. Konstrukcja dramatu pierwszorzędna. Napięcie idzie cały czas crescendo. Reżyserja umiejętna i inteligentna. Amatorzy tgo typu filmów mogą zapłacić za pełny bilet. Nie pożałują.

„Ostatnie dni Pompei" (kino „Atlantic").

Najrozkoszniejsza farsa sezonu. Ubawić się można doskonale na widok tandetnych dekoracyj, rewjowego Poncjusza Piłata i innych kretynizmów, które składają się na ten „cud 20-go wieku", na to „największe widowisko od 2000 lat". Mimo to, radzimy iść raczej na „Dodka na froncie", a każdego, kto zaofiaruje bilet bezpłatny na „Ostatnie dni Pompei", położyć knock - outem. A teraz zapytujemy: co robili pp. cenzorzy filmowi podczas wyświetlania tej operetki, która tak nonszalancko obchodzi się z religją i z postacią Jezusa Chrystusa?

X. 27.

Łączka kretynów

W ubiegłą sobotę odbył się w Politechnice warszawskiej wielki bal. Impreza ta, zresztą ponoć udała, była reklamowana z iście amerykańkim rozmachem. M. in. na kilka dni przed balem pojawiły się na słupach ogłoszeniowych i w lokalach publicznych wielkie afisze, donoszące, że bal w Politechnice raczyli „uświetnić" swemi występami:

„Wanda Wermińska, światowej sławy śpiewaczka, primandonna oper europejskich i amerykańskich, oraz Kazimierz Poraj, znakomity tenor dramatyczny!"

Obydwa te nazwiska były wydrukowane olbrzymieni literami, a dalej już, drobnym maczkiem szły inne nazwiska, więc Malickiej, Andrzejewskiej, Żabczyńskiego i in.

Nie będziemy się sprzeczać o p. Wermińską, o to czy jest ona większą artyktą niż Marja Malicka lub młodziutka Jadzia Andrzejewska. Przyjmijmy, że ten okazały słowik polski rozrywany przez cały świat, jest dla publiczności warszawskiej również niezwykłą atrakcją i dlatego trzeba było p. Wermińską tak „uwidocznić".

Ale któż to jest na miłość Boską „znakomity, bohaterski tenor Kazimierz Poraj?" Jako żywo, słyszymy o nim po raz pierwszy, może również śpiewał w... Paragwaju lub innym, bardzo od naszego świata odciętym zakątku, ale wobec tego trzeba naprawdę niemieć krzty zdrowego rozsądku, aby w tak niesmaczny sposób reklamować swój mocno **problematyczny talent.**

FRASZKI

O AKCJI ŻYDOWSKIEJ PRZECIW USTAWIE RZEŹNIANEJ

Czy w Szwecji i Szwajcarji, powiedzcie mi proszę,
Tam, gdzie niema rzezaków — żydzi są jarosze?

NA DOMYSŁY PRASY W SPRAWIE REORGANIZACJI B. B.

Zostawcie — niech się sami martwią na ten temat —
Jak ciągnąć zyski z partji, skoro partji niema?

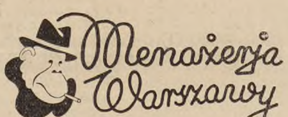
NA POLITYKĘ ZAGRANICZNĄ

Zagraniczna, bo kroczy takiemi drogami —
Jakby Polska leżała za jej granicami.

PO WYMIANIE LISTÓW CAR — PONIATOWSKI

Historja się powtarza. To rzecz zresztą stara —
Że monit Poniatowski dostaje od — Cara.

O. Set.



Był sekretarzem sławnej gwiazdy filmowej. Potem mieszał ją przy każdej okazji z błotem. Bawił się to w dziennikarza, to w wydawcę, to znów w aktora, ale już przedewszystkiem chorował na dyrektora teatru. Teatr taki cierpiał wówczas na przerost płci..... brzydkiej,która jednakże dla naszego bohatera jest płcią „piękną". Wyspecjalizował się w „adaptacjach" i „przekładach", fakt o tyle ciekawszy, że zdaje się niezbyt dobrze daje sobie radę nawet z polskim językiem. Ma zawrotny tupet i wcale niearyjską arogancję. Można go z czystem sumieniem ulokować w grupie — mandryli.

„Wykołysał mnie wiatr stepowy!" Tak przynajmniej mówi o sobie dziennikarzom, którzy mdleją na jej widok. Jest sławną bohaterką wszystkich scen świata i wszędzie równie chętnie udziela wywiadów. W zakresie samochwalstwa zdystansowała bezkonkurencyjnego do niedawna Jana Kiepurę. Mając imponującą tuszę, niestety, niemoże poszczycić się równie imponującym głosem, aczkolwiek... na bezrybiu i rak rybą, jak powiada przysłowie. Należy ją traktować pobłażliwie, bo jest ofiarą t. zw. „kompleksu reklamowego", któremu podlega zresztą olbrzymia większość artystów. W jaskrawych kostjumach scenicznych chwilami bardzo przypomina — kakadu.

✶

Na dwu stołkach siedzi p. Stokowski

Kierownikiem kino - teatru miejskiego jest niejaki pan Władysław Stokowski, który równocześnie jest właścicielem biura wynajmu filmów naukowych i szkolnych pod firmą „Dep - Kin". Właściwie firma ta zarejestrowana jest na nazwisko żony p. Stokowskiego, ale to minimalna różnica!

Ta dwuosobowość daje p. Stokowskiemu pole do popełniania rozmaitych drobnych nadużyć. Skupuje naprzykład filmy nieme rzekomo tylko dla wyświetlania w szkołach, a potem wyświetla je bezprawnie i oczywiście... bezpłatnie w Kinematografie Miejskim. A to wszystko dzieje się oczywiście za plecami Zarządu Miejskiego! Już czas najwyższy, aby Magistrat zajął się sprawą tego dziwnego kierownika!

Pozostałe kilkadziesiąt egzemplarzy Nr. 1 i 2 WIEM WSZYSTKO, można nabyć w Administracji wydawnictwa, ul. Królewska 35-20 od g. 11-ej do 13-ej.

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm, szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr., nadesłane 1 zł., komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej. Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor odp. i wydawca JAN KRUKOWSKI

Druk. A. Białobrzeskiego. Tarczyńska 4. Tel 680-20.